

Okruchy

KAZUO ISHIGURO

dnia



Laureat
NAGRODY
NOBLA
2017



Prolog

czerwiec 1956

Darlington Hall

Wydaje się coraz bardziej prawdopodobne, że jednak wyruszę na wyprawę, która od jakiegoś czasu zaprzęta moją wyobraźnię; wyprawę, należy dodać, którą podejmę samodzielnie, wygodnym ffordem pana Farradaya; która poprowadzi przez najpiękniejsze zakątki Anglii na południowy zachód aż po West Country, a w Darlington Hall mogę być nieobecny przez pięć czy nawet sześć dni. Muszę podkreślić, że pomysł tej wyprawy został mi niezwykle łaskawie podsunięty przez samego pana Farradaya około dwóch tygodni temu, kiedy odkurzałem portrety w bibliotece. Stałem na drabince i omiatałem portret wicehrabiego Wetherby, gdy wszedł mój chlebodawca, dzierżąc kilka książek, przeznaczonych zapewne do odłożenia na półki. Zauważywszy moją osobę, skorzystał z okazji, by powiadomić mnie, że w tej właśnie chwili podjął ostateczną decyzję w sprawie powrotu do Stanów Zjednoczo-

nych na pięć tygodni w sierpniu i wrześniu. To oznajmiwszy, mój chlebodawca złożył przyniesione tomy na stole i wyciągnął się na szezlongu, po czym popatrzył na mnie i rzekł:

– Wiesz co, Stevens, przecież nie będziesz sterczał w tym domu, jak mnie nie będzie. Może byś wziął samochód i przejechał się gdzieś na parę dni? Coś mi się zdaje, że przydałby ci się mały urlop.

Muszę przyznać, że nie wiedziałem, jak mam zareagować na tak niespodziewanie uczynioną propozycję. Pamiętam tylko, że podziękowałem mojemu chlebodawcy za to, że tak się o mnie troszczy. Chyba jednak wyglądałem na niezdecydowanego, gdyż pan Farraday ciągnął:

– Serio, Stevens, naprawdę przydałby ci się urlop. Dam ci na benzynę. Czy inni kamerdynery też tak siedzą i siedzą w domu jak ty? Przecież nie macie czasu, żeby poznać wasz piękny kraj!

Nie pierwszy raz mój chlebodawca podniósł ten problem, który zdaje się autentycznie go zaprzętać. Wtedy, gdy tak stałem na drabinie, przyszło mi na myśl pewne wyjaśnienie, jakiego powinno się udzielić w tej sytuacji. Otóż ludzie mojego zawodu, choć nie zwiedzali Anglii w ścisłym znaczeniu tego słowa, czyli podróżując po niej i oglądając malownicze miejsca, mieli o niej znacznie lepsze pojęcie niż wiele innych osób, a to dzięki pracy w domach, w których zbierali się największe państwo tego kraju. Oczywiście, nie mogłbym wyrazić tego przekonania panu Farradayowi bez dłuższej przemowy, co mogłoby sprawić

wrażenie wymądrzania się. Zadowolilem się więc krótkim stwierdzeniem:

– Miałem zaszczyt widywać to, co w Anglii najlepsze, proszę pana, w tych czterech ścianach.

Pan Farraday musiał nie zrozumieć tej uwagi, ponieważ powiedział znów:

– Serio, Stevens. To nie jest w porządku. Powinno się znać swój kraj. Rób, co ci radzę, rzuć ten dom na parę dni.

Jak Państwo się domyślają, owego popołudnia nie potraktowałem poważnie tej sugestii; uznałem ją za kolejny przykład nieświadomości, jaką Amerykanie przejawiają względem tego, co w Anglii wypada, a co nie. To, że w ciągu kilku następnych dni moje nastawienie do tejże propozycji uległo zmianie – a pomysł wycieczki do West Country coraz bardziej zaprzętał moje myśli – należy bez wątpienia przypisać, co tu kryć, nadejściu listu od panny Kenton, jedyne go, jaki od niej otrzymałem w ciągu ostatnich kilku lat (nie licząc życzeń na Boże Narodzenie). Muszę jednak natychmiast wyjaśnić: chodzi mi o to, że list od panny Kenton nasunął mi pewne spostrzeżenia na temat spraw służbowych tu, w Darlington Hall, i z całą stanowczością stwierdzam, że to właśnie troska o sprawy służbowe skłoniła mnie, by na nowo rozważyć tak łaskawie złożoną mi propozycję mego chlebodawcy. Niech mi będzie wolno szerzej to omówić.

Otóż faktem jest, że ostatnio w wypełnianiu obowiązków przytrafiło mi się parę drobnych uchybień. Należy zaznaczyć, że uchybienia te były same w sobie bez znacze-

nia. Myślę jednak – i przypuszczam, że Państwo również zdają sobie z tego sprawę – że dla kogoś tak jak ja nieprzyzwyczajonego do popełniania takich błędów podobny rozwój sytuacji musiał być wysoce niepokojący: zacząłem już wysuwać różne przerażające hipotezy co do ich przyczyn. Tymczasem, jak to często bywa w takich przypadkach, nie dostrzegałem najprostszego wyjaśnienia – dopóki moje rozważania nad wnioskami płynącymi z listu panny Kenton nie otwały mi oczu na najoczywistszą prawdę: otóż te drobne niedociągnięcia były spowodowane li tylko niewłaściwym rozkładem zajęć personelu.

Poświęcenie szczególnej uwagi ustaleniu rozkładu zajęć służby jest, rzecz jasna, obowiązkiem każdego kamerdynera. Ileż to kłótni, oszczerstw, pochopnych zwolnień z pracy, złamanie iluż obiecujących karier można przypisać niedbałości kamerdynera w ustalaniu rozkładu zajęć personelu? Jak najbardziej zgadzam się z opinią, że umiejętność stworzenia właściwego rozkładu zajęć służby jest dla każdego kamerdynera podstawą jego wszelkich umiejętności. Przez te wszystkie lata sam tworzyłem wiele rozkładów zajęć i, nie chwaląc się, muszę stwierdzić, że wprowadzanie poprawek było konieczne bardzo rzadko. Jeśli zaś obecnie powodem usterek w pracy służby jest niewłaściwy rozkład zajęć, winą należy obarczyć mnie i tylko mnie. Po sprawiedliwości trzeba jednak równocześnie wspomnieć, że w tym akurat przypadku moje zadanie było niezwykle utrudnione.

Wyjaśnię tu dlaczego. Otóż po sfinalizowaniu transak-

cji – w wyniku których rodzina Darlingtonów traciła dom należący do niej od dwustu lat – pan Farraday oznajmił, że nie zamierza osiedlać się tutaj natychmiast, ponieważ ostateczne zlikwidowanie jego spraw w Stanach Zjednoczonych wymaga jeszcze około czterech miesięcy. Chciał jednak bardzo, by tymczasem służba jego poprzednika – o której słyszał wiele dobrego – pozostała w Darlington Hall. „Służba”, o którą mu chodziło, była jedynie szczątkową, sześćoosobową obsadą, którą krewni lorda Darlingtona zatrzymali do zajęcia się domem na czas przeprowadzania transakcji; z przykrością donoszę, że gdy tylko posiadłość została sprzedana, nie mogłem dla pana Farradaya uczynić nic, by zapobiec odejściu na inne posady wszystkich poza panią Clements. Gdy napisałem do mojego nowego chlebodawcy, by wyrazić żal z tego powodu, otrzymałem z Ameryki instrukcje, by zwerbować nowy personel „godny wielkiego angielskiego domu”. Natychmiast podjąłem kroki, by spełnić to życzenie, lecz, jak Państwo wiedzą, znalezienie odpowiednich kandydatów jest obecnie niełatwe. Choć z polecenia pani Clements udało się zwerbować Rosemary i Agnes, z których jestem zadowolony – przed pierwszą, wstępną wizytą, którą pan Farraday złożył nam wiosną zeszłego roku, nie osiągnąłem żadnych lepszych rezultatów. Wtedy to właśnie – w tym dziwnie opustoszałym gabinecie Darlington Hall – pan Farraday po raz pierwszy ucisnął moją dłoń; zupełnie niezależnie od spraw służbowych mój nowy chlebodawca miał możliwość sprawdzenia moich zalet i umiejętności

ści, na których, ośmielałam się zauważyć, można polegać. To widać dlatego uznał, że może od razu porozmawiać ze mną w sposób otwarty i rzeczowy. W wyniku naszego spotkania powierzył mi całkiem znaczną sumę na wszechstronne przygotowanie jego przyszłego tu pobytu. Tak czy inaczej, chodzi mi o to, że gdy podczas tej rozmowy napomknąłem o kłopotach z zatrudnieniem odpowiedniego personelu, pan Farraday po chwili namysłu poprosił mnie o rzecz następującą: o to mianowicie, bym opracował jak najlepszy rozkład zajęć personelu – on nazwał to „takim jakimś harmonogramem służby” – by dom mogły prowadzić cztery obecnie zatrudnione osoby, czyli: pani Clements, dwoje dziewcząt i ja. Zdawał sobie sprawę, że może to wymagać „wyłączenia” części domu; miał jednak nadzieję, że moje doświadczenie i umiejętności pozwolą ograniczyć straty do minimum. Wspominając czasy, gdy miałem pod sobą siedemnaście osób służby, i wiedząc, jak niedawno jeszcze tu, w Darlington Hall, zatrudniano dwadzieścia osiem osób, perspektywa wypracowania takiego rozkładu zajęć, by ten sam dom prowadzić w cztery osoby, była co najmniej zniechęcająca. Choć starałem się tego nie okazać, coś musiało zdradzić mój sceptycyzm, ponieważ pan Farraday zaraz dodał, jakby na pocieszenie, że jeżeli będzie to konieczne, mogę zatrudnić jeszcze jedną osobę. Byłby jednak bardzo zobowiązany, powtórzył, gdybym „dał sobie radę w cztery osoby”.

Ja tymczasem, jak wielu innych ludzi, bardzo niechętnie zmieniam stare przyzwyczajenia. Oczywiście, nie należy

kurczowo trzymać się czegoś dla samej tylko tradycji, jak to skłonni są czynić niektórzy. W czasach elektryczności i nowoczesnego ogrzewania nie ma potrzeby trzymać tyle służby, ile było konieczne w ostatnim choćby pokoleniu. Co więcej, według mnie ta właśnie skłonność do utrzymywania zbyt licznej służby li tylko dla tradycji – powodująca, że pracownicy mieli za dużo wolnego czasu – była jednym z ważniejszych czynników znacznego pogorszenia się jakości usług w moim zawodzie. Ponadto pan Farraday wyjaśnił, że nie zamierza organizować tylu wielkich spotkań towarzyskich, ile za dawnych lat widywał Darlington Hall. Z poświęceniem zabrałem się więc do postawionych mi zadań. Nad ustaleniem rozkładu zajęć spędziłem wiele godzin; przynajmniej tyle samo rozmyślałem na ten temat podczas wypełniania mych obowiązków, co po udaniu się na spoczynek. Każdy nowy pomysł wielokrotnie rozpatrywałem pod wszystkimi względami, szukając jakichkolwiek złych stron. Wreszcie otrzymałem rozkład, który, choć może nie spełniał dokładnie zaleceń pana Farradaya, był jednak najlepszym z możliwych rozwiązań. Utrzymamy funkcjonowanie niemal wszystkich reprezentacyjnych części domu; wyłączone zostaną tylko zbyt obszerne w nowej sytuacji pomieszczenia służbowe – w tym korytarz od kuchni, dwie spiżarnie i stara pralnia. W ten sposób do użytku nadawać się będą wszystkie główne pokoje na parterze i wystarczająca liczba pokoi gościnnych. Ponieważ jednak tak szeroki program da się wypełnić jedynie przy pomocy kilku osób dochodzących,

rozkład zajęć uwzględniał usługi ogrodnika (raz w tygodniu, a w lecie dwa razy) i dwóch sprzątaczek (po dwa razy w tygodniu). Według nowego rozkładu zmieniłby się też radykalnie podział naszych dotychczasowych obowiązków. Przewidywałem przy tym, że dziewczęta nie będą miały większych kłopotów z przystosowaniem się do tych nowych obowiązków; za to starałem się, by jak najmniejsze zmiany dotyczyły pani Clements – do tego stopnia, że sobie przydzieliłem znacznie więcej zadań, niż można by się spodziewać po najbardziej liberalnym kamerdynerze.

Nawet teraz nie powiedziałbym, że był to zły rozkład zajęć; mimo wszystko umożliwiał przecież czterem osobom wykonanie nadspodziewanie wielkiej liczby zadań. Zgodzą się jednak Państwo, że najlepsze rozkłady zajęć służby to takie, które przewidują pewien margines bezpieczeństwa na wypadek choroby lub innego rodzaju niedyspozycji któregoś z pracowników. Oczywiście w tym akurat przypadku moje zadanie było dość niezwykle, lecz pomimo to starałem się zachować, gdzie tylko możliwe, takie właśnie „marginesy”. Szczególnie byłem świadom, że wszelkie opory, na jakie mogę natrafić ze strony pani Clements i dziewcząt, usiłując je przekonać do przyjęcia nowych obowiązków, będą o tyle większe, o ile wzrośnie liczba wykonywanych przez nie prac. Dlatego właśnie, gdy zmagalem się z układaniem rozkładu zajęć, wiele uwagi poświęciłem temu, by moje podwładne, gdy już przystosują się do swych bardziej „wszechstronnych” ról, uznały

taki właśnie podział pracy za wygodny i zachęcający do większego wysiłku.

Obawiam się jednak, że w trosce o zadowolenie żeńskiego personelu nie oceniłem równie wnikliwie mych własnych możliwości; choć doświadczenie i wrodzona ostrożność w takich sprawach nie pozwoliły mi podjąć się większej liczby zadań, niż mógłbym wykonać, to jednak zbyt mało uwagi poświęciłem własnemu marginesowi bezpieczeństwa. Nic więc dziwnego, że w ciągu kilku następnych miesięcy niedopatrzenie to dało o sobie znać w wielu różnych drobnych, lecz znaczących sprawach. Ostatecznie więc rzecz przedstawiała się prosto: wziąłem na swe barki zbyt duży ciężar.

Dziwią się może Państwo, że oczywisty błąd w rozkładzie zajęć personelu tak długo umykał mojej uwagi. Jednak często tak się dzieje, że gdy długo rozważamy jakąś sprawę, prawda ukazuje się nam zupełnie nieoczekiwanie, w wyniku jakiegoś innego wydarzenia. Tak też było i w tym przypadku; otóż otrzymanie przeze mnie listu od panny Kenton, zawierającego – oprócz długich, niezbyt zrozumiałych fragmentów – bezsprzeczną nostalgię za Darlington Hall oraz – a jestem tego pewien – wyraźne aluzje do chęci powrotu, zmusiło mnie do ponownego zastanowienia się nad rozkładem zajęć. Dopiero wtedy stała się dla mnie oczywista rola, jaką mogłaby tu odegrać jeszcze jedna osoba służby; zrozumiałem, że to właśnie jej brak był źródłem mych ostatnich niepowodzeń. I im bardziej o tym myślałem, tym bardziej stawało się jasne,

że właśnie panna Kenton, z jej wielkim przywiązaniem do tego domu, z jej przykładnym poczuciem odpowiedzialności zawodowej – jakiego teraz człowiek już nie uświadczy – byłaby tym czynnikiem, który umożliwiłby mi wreszcie ustalenie całkowicie zadowalającego rozkładu zajęć służby dla Darlington Hall.

Wkrótce po dokonaniu takiej oceny sytuacji zacząłem na nowo rozważać łaskawą propozycję pana Farradaya sprzed kilku dni. Przyszło mi bowiem na myśl, że taka wycieczka może być też pożyteczna i ze służbowego punktu widzenia; mógłbym przecież pojechać do West Country, a przy okazji odwiedzić pannę Kenton, by upewnić się co do jej pragnienia powrotu do pracy tu, w Darlington Hall. Muszę wyjaśnić, że list od niej przeczytałem wielokrotnie – nie ma więc możliwości, bym sam sobie wmówił obecność w nim wspomnianych aluzji.

*

Mimo to przez wiele dni nie śmiałem podjąć na nowo tego tematu z panem Farradayem. W całej sprawie istniało kilka aspektów, które trzeba było wyjaśnić przed podjęciem dalszych kroków – na przykład sprawa kosztów. Nawet biorąc pod uwagę życzliwą propozycję mego chlebodawcy, że „da mi na benzynę”, koszty takiej wyprawy mogły urosnąć do zadziwiających rozmiarów, gdy weźmie się pod uwagę noclegi, posiłki i inne drobne wydatki. Potem sprawa stroju, jaki należałoby zabrać w taką podróż, i czy opłaca mi się sprawić sobie nowe ubranie.

Jestem w posiadaniu całej kolekcji świetnych garniturów, otrzymanych w ciągu tych wszystkich lat od lorda Darlingtona i jego różnych gości, którzy podczas wizyty mieli powód do zadowolenia z naszej służby. Choć są one na taką wycieczkę może zbyt eleganckie czy też po prostu niemodne w obecnych czasach, to jest jednak wśród nich jedno ubranie spacerowe, które otrzymałem w 1931 czy 1932 roku od sir Edwarda Blaira – wówczas całkiem nowe i pasujące niemal jak ulał – i które nadałoby się na wieczór w salonie lub jadalni każdego hotelu, w jakim zatrzymałbym się w czasie mej podróży. Nie mam, niestety, żadnego odpowiedniego stroju podróżnego – czyli takiego, w którym mógłbym pokazać się za kierownicą samochodu – chyba że włożyłbym garnitur otrzymany w czasie wojny od młodego lorda Chalmersa. Garnitur ten, choć znacznie na mnie za mały, można by uznać za doskonały pod względem stylu. Obliczyłem wreszcie, że moje oszczędności wystarczą na koszty podróży, a nawet na kupno nowego ubrania. Mam nadzieję, że nie posądzą mnie Państwo o zbytnią próżność; chodzi o to, że nigdy nie wiadomo, czy nie będę musiał się przyznać do pracy w Darlington Hall, a w takich razach ważne jest, by strój odpowiadał piastowanemu stanowisku.

Równocześnie wiele chwil poświęciłem studiowaniu atlasu samochodowego, jak również odnośnych tomów *Cudów Anglii* pani Jane Symons. Jeżeli Państwo nie znają książek pani Symons – jest ich siedem, a każda opisuje inną część Wysp Brytyjskich – gorąco je Państwu polecam.

Choć zostały napisane w latach trzydziestych, są zapewne nadal aktualne – przecież bomby niemieckie nie zmieniły naszego krajobrazu aż tak bardzo. Pani Symons była zresztą częstym gościem w Darlington Hall, i do tego jednym z najbardziej lubianych, przynajmniej przez służbę, a to dzięki zawsze okazywanemu zadowoleniu z naszej pracy. Właśnie wtedy, kierując się naturalnym podziwem dla tej pani, zacząłem w wolnych chwilach studiować jej dzieła w naszej bibliotece. Pamiętam też, że w roku 1936, wkrótce po wyjeździe panny Kenton do Kornwalii – nigdy tam nie byłem – często przeglądałem tom trzeci, w którym pani Symons opisuje cuda Devonu i Kornwalii. Całość uzupełniona jest zdjęciami oraz jeszcze bardziej przemawiającymi do mnie rysunkami. Właśnie dzięki temu miałem jakieś pojęcie, gdzie panna Kenton miała pędzić życie w stanie małżeńskim. Było to jednak, jak mówię, w latach trzydziestych, gdy, jak mi się zdaje, książki pani Symons cieszyły się powszechnym uznaniem w całym kraju. Nie zaglądałem do nich przez wiele lat; dopiero teraz znów sięgnąłem na półkę po tom o Devonie i Kornwalii. I znów, jak dawniej, zagłębiłem się w te opisy i ilustracje; i mogą Państwo sobie wyobrazić moje rosnące podekscytowanie na myśl, że być może rzeczywiście wybiorę się w te okolice.

Wreszcie nie pozostało mi już nic innego, jak wspomnieć znów o tej sprawie panu Farradayowi. Oczywiście, istniała zawsze możliwość, że uczyniona przez niego przed dwoma tygodniami propozycja była tylko przelotnym kaprysem

i że pomysł ten nie będzie już cieszył się jego uznaniem. Co prawda, według moich obserwacji, które poczyniłem przez te kilka ostatnich miesięcy, pan Farraday nie należy do tych osób, które wykazują najbardziej irytującą cechę, jaką może mieć chlebowdawca, a mianowicie zmienność. Nie było bynajmniej powodu przypuszczać, że pan Farraday mógłby tym razem wykazać mniejszy entuzjazm względem mojej planowanej podróży albo wręcz zapomnieć o swej łaskawej propozycji „dania mi na benzynę”. Mimo to gruntownie rozważyłem, kiedy mu o tym napomknąć, bo choć, jak już powiedziałem, nigdy nie podejrzewałbym pana Farradaya o zmienność, to lepiej byłoby nie rozpoczynać rozmowy na ten temat w chwili, gdy mój chlebowdawca jest czymś zajęty lub zdenerwowany. Uczyniona przezeń w takiej sytuacji odmowa mogłaby wcale nie być odzwierciedleniem rzeczywistego nastawienia pana Farradaya, lecz raz ją otrzymawszy, niełatwo przyszyłoby mi wracać potem do tej sprawy. Było więc oczywiste, że musiałem mądrze wybrać właściwy moment.

Zdecydowałem w końcu, że najbezpieczniej będzie uczynić to podczas podawania popołudniowej herbaty w salonie. Pan Farraday zwykle wraca wtedy z krótkiej przechadzki po okolicznych pagórkach, nie jest więc zaprzątnięty lekturą i pisanem, tak jak potem, pod wieczór. Co więcej, często, gdy przynoszę mu herbatę, pan Farraday odkłada książkę czy czasopismo, które właśnie przeglądał, wstaje i przeciąga się przy oknie, jakby oczekiwał, że pogawędzi sobie ze mną przez chwilę.

W każdym razie wydaje się, że mój osąd okazał się całkiem trafny; to, jak potem potoczyły się wypadki, było spowodowane omyłką dotyczącą zupełnie innych spraw. Mianowicie nie wziąłem dostatecznie pod uwagę faktu, że o tej porze dnia pan Farraday chętnie bawi się lekką, dowcipną nawet rozmową. Wiedząc, że takie właśnie jest jego nastawienie, gdy przynoszę mu herbatę, i że w takich chwilach zawsze rozmawia ze mną tonem żartobliwym, nie należało wczoraj w ogóle wspominać o paninie Kenton. Rozumiem jednak Państwo, że było czymś zupełnie naturalnym napomknąć o pożytku, jaki z tego wyjazdu może wyniknąć dla spraw służbowych – ostatecznie miałem prosić mojego chlebodawcę o dużą łaskę. Tak więc, mówiąc o powodach, dla których wybrałem za cel mej podróży właśnie West Country, zamiast poprzestać na paru zachęcających szczegółach zapamiętanych z lektury dzieła pani Symons, zupełnie niepotrzebnie wspomniałem, że w tamtych okolicach zamieszkuje teraz dawna gospodyni Darlington Hall. Chciałem chyba wyjaśnić panu Farradayowi, że będę mógł przy okazji zbadać pewną możliwość idealnego rozwiązania naszych drobnych problemów domowych. Jednak gdy tylko zacząłem mówić o paninie Kenton, zrozumiałem, że popełniłem błąd. Nie tylko nie byłem wcale pewien, czy ona pragnie powrócić tu na służbę; ponadto o zwiększeniu liczby personelu nie rozmawiałem z panem Farradayem od czasu naszej pierwszej rozmowy. Wygłaszanie teraz przeze mnie uwag co do przyszłości Darlington Hall mogłoby zostać uznane co najmniej za zarozumiałstwo. Urwałem więc

chyba dość gwałtownie; musiałem sprawiać wrażenie nieco zmieszanego. Tak czy inaczej, pan Farraday natychmiast skorzystał z okazji, by uśmiechnąć się do mnie szeroko i powiedzieć niby to z zastanowieniem:

– No, no, Stevens. Przyjaciółeczka. I to w twoim wieku...

Cóż za niezręczna sytuacja! Lord Darlington nigdy nie zrobiłby czegoś takiego żadnemu ze swoich pracowników! Zresztą wcale nie chcę mówić tu niczego pejoratywnego o panu Farradayu: jest przecież Amerykaninem, a ich zwyczaje są często tak odmienne od naszych. Na pewno nie mówił tego złośliwie, lecz potrafią Państwo pojąć, w jakże niezręcznej znalazłem się sytuacji.

– Nie wiedziałem, że z ciebie taki kobieciarz, Stevens – ciągnął. – Pewnie dzięki temu człowiek wolniej się starzeje. Nie wiem tylko, czy mogę ci pomagać w osiągnięciu tak podejrzanych celów.

Oczywiście, pierwszym moim odruchem było natychmiast stanowczo zaprzeczyć takim motywom mego postępowania, jakie imputował mi pan Farraday; na szczęście spostrzegłem w porę, że na to tylko czekał, a wtedy moje położenie byłoby jeszcze gorsze. Wolałem już więc stać dalej zmieszany, czekając, aż mój chlebodawca wyrazi zgodę na ten wyjazd.

Choć chwile te były dla mnie wysoce żenujące, nie chciałem, by Państwo odnieśli wrażenie, że w jakimś sensie mam to za złe panu Farradayowi, który jest przecież osobą miłą i sympatyczną; na pewno bawiło go po prostu to przekomarzanie się, które w Stanach Zjednoczonych

jest bez wątpienia oznaką dobrych, przyjaznych stosunków pomiędzy pracodawcą i pracownikiem – ot, taką sobie niewinną rozrywką. Muszę tu dodać, że takie właśnie przekomarzanie się było bardzo częstym sposobem odnoszenia się do mnie mojego chlebodawcy – choć muszę przyznać, że nadal nie wiem, jak mam na to reagować. W ciągu pierwszych dni mojej służby pan Farraday kilkakrotnie zadziwił mnie swymi powiedzeniami. I tak, na przykład, zapytałem go raz, czy pewnemu panu wybierającemu się do nas z wizytą będzie towarzyszyć małżonka.

– Niech nas Bóg broni! – odparł na to pan Farraday. – Gdyby przyjechała, może uda ci się uwolnić nas od niej, Stevens. O, mógłbyś ją wziąć do tych stajni, tam koło farmy Morgana. Zabawiałbyś ją tam na sianie, może jest właśnie w twoim typie.

Przez dobrą chwilę nie miałem pojęcia, o co chodzi mojemu chlebodawcy. Potem zrozumiałem, że to żart, więc starałem się uśmiechnąć, choć podejrzewam, że moja twarz zdradzała pewne zdumienie czy wręcz zaszkokowanie.

Jednak po paru dniach przyzwyczailem się do tego typu uwag pana Farradaya i gdy tylko dosłyszałem w jego głosie ów żartobliwy ton, natychmiast uśmiechałem się odpowiednio. Mimo to nigdy nie byłem do końca pewien, czego właściwie oczekuje się ode mnie w takiej sytuacji. Być może powinienem roześmiać się głośno, a może nawet samemu dorzucić jakąś dowcipną uwagę. Ta ostatnia możliwość niepokoiła mnie nieco w ciągu ostatnich mie-

się; dotąd nie wiem, co właściwie powinienem zrobić. Być może w Ameryce do obowiązków służbowych pracownika należy bawienie swego chlebodawcy dowcipną rozmową. Przypominam sobie zresztą, że pan Simpson, właściciel gospody Pod Ręką Oracza, mówił kiedyś, że gdyby był amerykańskim barmanem, nie przemawiałby do nas po swojemu poufale, choć zawsze uprzejmie, lecz zarzucałby nas grubiańskimi uwagami na temat naszych wad i słabości, wyzywał nas od pijaków i raczył innymi tego typu epitetami, by w ten sposób spełnić oczekiwania swych klientów. Pamiętam też, że pan Rayne, który podróżował do Ameryki jako kamerdyner sir Reginalda Mauvisa, mówił mi, że nowojorscy taksówkarze zwracają się do swych pasażerów w sposób, który w Londynie spowodowałby na pewno jakąś awanturę czy nawet odprowdzenie kierowcy na najbliższy posterunek policji.

Jest więc całkiem możliwe, że pan Farraday chce właśnie, by na jego przekomarzania się odpowiadać tym samym, i że może uznać moje powstrzymywanie się od tego za swego rodzaju uchybienie. To właśnie martwi mnie już od pewnego czasu. Muszę przyznać, że z wielką niechęcią myślę o konieczności wypełniania tego obowiązku. W naszych tak zmieniających się czasach można oczywiście dostosowywać się do zadań dotychczas nienależących do zakresu czyjejś działalności, lecz przekomarzanie się to już coś zupełnie innego. Czy można mieć pewność, że dowcipna odpowiedź jest właśnie na miejscu w danej sytuacji? Nie trzeba chyba wyjaśniać, jak katastrofalne

skutki wywołałoby wygłoszenie dowcipnej uwagi w nie-
stosownym momencie.

Mimo to niedawno poważylem się wreszcie na taką
żartobliwą odpowiedź. Podawałem panu Farradayowi po-
ranną kawę w pokoju śniadaniowym, gdy ten powiedział:

– To chyba nie ty tak krakałeś dzisiaj rano, co, Stevens?

Zrozumiałem, że chodzi o dwóch Cyganów zbierają-
cych złom, którzy przechodząc tędy jakiś czas temu, oznaj-
miali o swym przybyciu gardłowymi okrzykami. Tak się
złożyło, że tegoż ranka rozważałem właśnie dylemat, czy
odpowiadać na żartobliwe zaczepki mojego chlebowodcy,
obawiając się przy tym, jak też oceni brak mojej reakcji na
jego żarty. Zacząłem więc obmyślać jakąś dowcipną odpo-
wiedź, taką w dodatku, która w razie złej oceny sytuacji
z mojej strony nie mogła być potraktowana jako coś ob-
rażliwego. Wreszcie po chwili odezwałem się:

– Były to bardziej jaskółki niż kruki, proszę pana. Jeśli
chodzi o skłonności do wędrowania. – Tu uśmiechnąłem
się skromnie, by niedwuznacznie dać do zrozumienia, że
właśnie powiedziałem dowcip; nie chciałem bowiem, by
pan Farraday czuł się w jakiegokolwiek mierze zobowiąza-
ny do zachowania powagi.

Ten tymczasem spojrzał tylko na mnie, mówiąc:

– Co takiego, Stevens?

Dopiero wtedy pojąłem – ponieważ – że przecież
mój dowcip mógł być zrozumiały tylko dla kogoś, kto
widział, że pod domem rzeczywiście przechodziło dwóch
Cyganów. Nie miałem pojęcia, jak z tego wybrnąć; w koń-